Rok IV.

Nr. 36. Nr. 36.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po $1^1/_2$ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 5 września 1874.

Xięgarnia K. Rejzner (Chotomski) ulica Wodna Nr. 15, na rogu Wielkich Garbar.

Obrachunek sumienia.

Dochodzą nas z bardzo poważnych kół uwagi, — że sobie przywłaszczamy prawo sądu o osobach i o czynach, co dotąd żadnemu pojedyńczemu człowiekowi nie przysługiwało, — i czego się dotąd nikt publicznie czynić nie poważył.

Gdyby nawet sąd nasz był tylko naszém osobistem zdaniem, to jako obywatel mielibyśmy to samo prawo co każdy inny, t. j. objawiać go, chociażby sąd ten był nawet wręcz przeciwny opinji publicznéj albo i mylny, — bo dziś w Europie już ustało prawo zakazujące mówienia tego, co kto czuje jako prawdę, nawet wtedy, gdyby sąd ten tyczył się osoby panującéj. Sam ten zarzut jest dowodem, żeśmy politycznie niedojrzali jeszcze, skoro przez poważne usta u nas takie niewolnicze objawiają się pojęcia.

W artykule „O praktyczném zastósowaniu cywilnéj odwagi“ lepiéj nas pojął inny znany publicysta, gdy nam właśnie z tego „zarzutu“ uczynił pochwalę, pisząc co następuje (Nr. 28): „Tygodnik zacząłem czytać z coraz większém zajęciem, dostrzegłszy to, **czego nam brak, co jest dla nas nieodbicie potrzebném, ledwie nie powiem kwestją życia lub śmierci, — dostrzegłszy szlachetną dążność do wytworzenia niezależności sumiennego sądu.**

„Zacny nasz obywatel i znakomity nasz filozof Libelt dowiódł już wymownie, jak wielką cnotą i dobroczynném w skutkach dla narodu moralném narzędziem jest cywilna odwaga. Jego zasady, których on zawsze się trzymał w publicznym swym zawodzie, przez co tak wielkie położył zasługi, pan chcesz rozwinąć na większą skalę i zastósować je do życia publicznego za pomocą dziennikarstwa. Słusznie! W wyjątkowém położeniu naszém my nawzajem powinniśmy być bardzo surowi dla siebie.

Nam zacnymi nie wolno być tylko w połowie,
Co indziéj wadą u nas to się zbrodnią zowie

a przynajmniéj zwać się powinno.“

A cóż tedy mówić, gdy to, cośmy dotąd o wymienionych naszych koryfeuszach Bractwa Wzajemnéj Adoracji powiedzieli, — pierwotnie nie było bynajmniéj naszym osobistym sądem, lecz sądami słyszanemi bardzo często we wielu domach bardzo zacnych, wybornie ze stósunkami miejscowemi obeznanych, w rodzinach tworzących opinję publiczną.

Kto żył tu ciągle, — ten zwolna, nieznacznie mógł się wdrożyć w to panowanie Bractwa Wzajemnéj Adoracji, — ale kto tu żył za czasów Tytusów Działyńskich i Gustawów Potworowskich, a po leciech kilkunastu wrócił i zastał Poznańskie pod siecią takich niedorostków obywatelskich, takiemu tu i żyć przykro i zamilczeć trudno, — zwłaszcza, gdy przez lat dwa, przez własne przekonanie się, uznał: że sądy dotąd słyszane — są uzasadnione.

* * *

Daléj ganią nam, że rzucamy się na „najgodniejszych i jedynych mężów czynu!“ — ¡Mężów czynu?!... Czując własną godność, umiemy ją szanować i w drugich, a mianowicie w mężach czynu. Aleź i robactwo toczące belki i podwaliny domu jest czynne!... Dziękujemy za te czyny, które mężom zaufania, Radom nadzorczym, kontrolerom naszych instytucji, banku Tellus, teatru polskiego, Westy, banku Kwilecki, Potocki i Spółka i t. d. pozwalają być ślepymi na wszystko, nawet na straty samych akcjonarjuszów!...

Malowanych prezesów, malowane Rady nadzorcze, malowane walne zebrania, jeżeli takich potrzeba, — to rytownik „Djabła“ ich namaluje ile potrzeba, taniéj,

niż ci panowie po hotelach płacą, przyjeżdżając na owe fanfarońskie zjazdy i walne zebrania.

Dotąd nie zaczepiliśmy nikogo w prywatnym żyjącego stanowisku; — ale kto ma ambicję występować nam na naszem czele, — ten niech ma i karę za to, jeżeli się tam wdarł a nie wypełnił swego obowiązku, — bo on zabrał miejsce sumienniejszemu: dla swéj próżności.

Niech staną nam czynni i sumienni mężowie na czele wymienionych instytucji, to nam ani przez myśl nie przejdzie, — ażeby o nich zawadzić.

Nam chodzi o dobro ogółu, o grosz akcjonarjuszów, — a nie o żołd dla prezesów, dyrektorów, urzędników i innéj służby płatnéj! Zaczepianym przez nas właśnie o tę służbę chodzi, — bo nią sobie kupują, akcjonarjuszów pieniędzmi, popleczników lub rozdają grosz nie swój swoim faworytom i zausznikom, jeżeli sami nie biorą.

* * *

Czy nasze pismo jest paszkwilem?

Według przypisku załączonego, objaśniającego co nazywa się paszkwilem, niech czytelnicy sami osądzą.

My wiemy tylko, — że nasze instytucje upadać muszą dla pasożytów, dla nieumiejętności kierowania niemi, dla zbyt wielkiéj skali, na jakie bez poprzedniego obliczenia się urządzają. Ten pozór wielkości jest dziełem wydrwigroszów.

W biednym naszym kraju, jeżeli się jeszcze biedniéj dzieje niż powinno, — to dla owych „Głów do pozłoty“, które dzielny Jan Lam tak mistrzowsko opisuje, a którego to dzieła tytuł opuszczono w poprzednim naszego pisma numerze.

W tém nieoszacowaném dziele jasno jak na dłoni nasz los wypisany, — a mimo to my raczéj zmarniejemy, — ale nie pozwolimy tutajszym „Głowom do pozłoty“ niszczyć do szczętu naszego kredytu, naszego dobrobytu, naszych społecznych stósunków, — w których dla wielu z nas życie się obrzydza!...

Przynajmniéj resztką onegoż choćby sam jeden, dajmy przykład jak kraj a raczéj bliźnich w nim żyjących kochać potrzeba, t. j. nie deklamacją i częstowaniem, ale ich obroną, — i gdybyśmy nawet mylną szli drogą, mamy opokową najsumienniejszą wiarę — że dla nas, w naszém nieszczęśliwém położeniu innéj drogi nie ma nad drogę sumiennéj pracy, sumiennéj prawdy i poświęcenia się rzeczywistego dla swych ziomków, bo do zacnych celów zacnemi tylko można iść drogami i zacne do dopięcia celu obierać środki. To pewno, że takich nigdzie, nigdy i nikt złotem ani zaszczytami za życia nie opłacał, — bo to rzecz tylko „warjatów“, „niepraktycznych“ według pojęć Bractw Wzajemnéj Adoracji.

Takim jest nasz obrachunek sumienia — i ze wzgardą pominiemy wszelkie inne drogi, nie pytając ani o to, co nas czeka, ani o to, co o nas współcześni mówią, — bo niesumiennych lub głupich ludzi wrzaski sprawie dobréj nic szkodzić nie mogą, — owszém potęgują jéj tryumf, a kto sumiennie dla przyszłości pracuje — ten jéj się nie obawia. Przeciw prawdzie rozumu nie ma, — a tylko na moralności oparte interesa bogacą i uszczęśliwiają ludzi i kraje.

Wł. hr. Chotomski.

*) Wyraz paszkwil pochodzi od nazwy szewca Pasquino, żyjącego około r. 1500 w Rzymie. Wydawał on, jak dziś drukowane, tak wówczas pisany dziennik, w którym obok nowin nielitościwie wyszydzał śmieszności i nieuczciwość ówczesnego miejscowego wielkiego świata, a mianowicie wówczas nader rozpasane życie duchowieństwa.

W dzisiajszém pogardliwém znaczeniu paszkwilem nazywamy każdą rozpowszechnioną publicznie pismem, rysunkiem a nawet i opowiadaniem obelgę (injuria).

Obelgą zaś nazywamy każdą prawem zabronioną czynność, w skutek któréj umniejsza się komuś szacunek, jakiego publicznie zażywa, czy to że komuś się przypisuje czynności, które go muszą poniżać w opinji innych (oszczerstwo), czy to, że się komuś oświadcza bezpośrednio albo wprost osobie, albo w obec trzecich swą pogardę (obraza). Prawo wymaga koniecznie, ażeby w obrazie tkwił wybitny cel poniżenia kogoś (animus injuriandi).

Ponieważ życie publiczne na podstawie prawdy ma polegać, przeto wolno każdemu wszędzie prawdziwe kony (fakta) ogłaszać, chociażby one i podawały kogoś w pogardę (exceptio veritatis), i wolno każdemu o tych konach wydawać sądy usprawiedliwione, a nawet i mylne sądy o tych konach, byle one na sumienném przekonaniu polegały, powinno się ze stanowiska towarzyskiego za bezkarne je uważać.

Takie są o tém pojęcia w nauce moralności i nawet w sądownictwie.

Z nich czytelnik niech sam zawyrokuje, czy nasze twierdzenia można uważać za paszkwile.

(Przyp. Aut.)

W sprawie moralności.

Lubo nas „Szczutek“ nie dochodzi wcale, a dla jego Redaktora żywimy przyjaźni uczucie, ogłaszamy z żalem i zdziwieniem następne nadesłane nam słowa przez Szan. tłomacza dzieła Palearjusza*), które tłomaczenie fanatyczny biskup przemyślski skazał na spalenie w 1860 r., a xiężom z ambon polecił zakazywać onegoż

*) Paleario Antoni (po łacinie Antonius Palearius) jak Huss, Savonarola i inni uśmiercony jako kacerz. Urodził się około 1500 r. we Veroli (Campagna di Roma), uczył się w Padwie i Florencji filozofji, praw i patrystyki (teologji części historyjno-dogmatycznéj, która szczególniéj się zajmuje życiem, pismami i naukami Ojców kościoła); w Siena uczył od 1532 roku retoryki, od 1545 w Lucca, a od 1555 r. w Medjolanie wykładał filologję, a w 1572 r. 2go lipca spalono go żywcem na stosie z wyroku św. Inkwizycji za napisanie dzieła po włosku: „Del beneficio di Giesù Cristo crocifisso“ (t. j. O łaskach ukrzyżowanego Jezusa Chrystusa), po raz pierwszy wydane we Wenecji 1870 r., a potém przedrukowywana częstokrotnie i tłomaczona na wszystkie europejskie języki, ale wszędzie wyławiała to dzieło św. Inkwizycja i niweczyła je. W najnowszych czasach znaleziono jeden exemplarz tego dzieła w Cambridge (Kembrydż), które Tischendorf wydał w tłomaczeniu niemieckiém w 1850 r. w Lipsku. Paleario był poetą i autorem wielu innych dzieł teologijnych, a życiorys jego czasów i działalności obszernie w 2 tomach skreślił w angielskim Young, drukowany w Londynie w 1860 roku.

czytywanie. Głos ten radzi dla tego umieszczamy, że pochodzi od uczonego męża, nie paradującego uczuciami religijnemi i może dla tego właśnie podobni jemu są najreligijniejszymi.

Każdego zacnego człowieka oburza małocenienie tych miejsc, w którym się Bogu cześć składa, gdzie nieszczęśliwi uciekają się w celu poszukania tamże sobie pociechy w strapieniu lub ulgi dla zakłóconego sumienia. Jeżeli komu, to dzieciom i prostaczkom najpotrzebniejszą jest ta tajemnicza nić zwana religją czyli połączaniem (re-ligare) bliźnich z bliźnimi, a wszystkich z Bogiem — mniejsza o to czy w bóżnicy, czy w kryplu, w meczecie czy w kościele, w pagodzie czy we własnéj ciupce mieszkalnéj, bo wszędzie jest bozka świątynia. Téj świętéj nici żadna ludzka siła nie zerwie, a każda gruntowna wiedza i nauka potęguje ją — i tylko niedouczeni, niegruntownie wykształceni, nie-mądrzy mogą ją w skutek swego niejasnego widzenia rzeczy negować lub potępiać, poniżać lub poniewierać, narzucać lub wytępiać. Ludzi mądrych, t. j. łączących harmonijnie gorące uczucie z potężną myślą — każda religja zawsze wynosi do ideału człowieka; ludzi rozumnych, t. j. w których myśl góruje nad uczuciem, każda swobodnie rozwijająca się religja — uszlachetnia, a i najgłupszych pociesza lub od złego odstrasza; — jak każda znów religja gdy ją gwałt ciemięży, wyradza z rozumnych i głupich: fanatyków, — a gdy ją gwałt popiera: ateuszów czyli bezbożnych lub świętoszków.

* * *

„Jeśli prawie wszystko w Galicji znajduje się obecnie w zawieszeniu, moralność zwłaszcza młodego pokolenia powinna stać nietknięta. Niestety! dzieje się inaczéj i widzimy, że czasopismo, którego zadaniem powinno być chronienie młodzieży od zepsucia, demoralizuje ją ohydnie. Tym czasopismem jest „Szczutek“ wychodzący we Lwowie. Zaprowadzona w nim stała rubryka „Rozmowa Gogątek“, a w ostatnich numerach nawet główne ryciny niezmiernie zasmucają i paraliżują każdego myślącego. W tych bowiem rozmowach ustawicznie powtarza się jedno i to samo, mianowicie zatruwanie wszelkiéj przyzwoitości, moralności i uczciwości młodych ludzi bądź przez lekceważenie rodziców lub przełożonych, bądź też przez jawne szerzenie najzgubniejszych zasad, jak się o tém każdy kto „Szczutka“ czytuje przekonać może. Ostatnia zaś rycina, gdzie małe dziecię mówi, iż matka jest naiwna że chodzi do kościoła, przewyższa swoim jadem wszystko, co sobie wystawić można i dowodzi oczywiście, jakoby „Szczutek“ nie miał innego zadania, tylko psuć i demoralizować nietylko młodzież, ale nawet małe dzieciaki. Zamiast karcić i wyszydzać złe i niedorzeczne czyny trzech zaborczych rządów, do czego ogromne ma pole i mnóstwo sposobności, zamiast smagać złe i zastarzałe sądownictwo w Galicji, smagać oszukaństwa po bankach i kolejach, wydrwiwać i wyśmiewać występki lub zdrożności narodowe, trawestować nieznaczne płody literatury lub sztuki, zamiast tego wszystkiego cóż robi „Szczutek?“ „Szczutek“ zatruwa niemowlęta polskie a zatruwa właśnie wówczas, gdy te niemowlęta są w niewoli austrjackiéj, pruskiéj i rosyjskiéj, a tym samym na niezliczoną ilość innego złego narażone i wystawione! Czy taka redakcja jest patrjotyczną i rozsądną, niech sądzi cała Polska, Ruś i Litwa; ja pióro kruszę i robię tylko tę uwagę, że kto dzieci lub młodych ludzi demoralizuje, ten pewnie sobie nie życzy, aby wyrośli na uczciwych mężów i byli zacnemi obywatelami kraju. Niech nas Bóg uchowa od takiego użycia wolności druku!“

Rodzina węglarza,

przez **W. I. B.**

(Ciąg dalszy).

XIV.

W drodze ku miastu, za wsią, na rozstaju,
U końca łączki, u wnijścia do gaju,
Stała figura; w niéj — obraz królewny
Świętéj. Przed laty, gdym młodą dziewczyną
Składała w hołdach wieńce téj figurze,
Mawiał ksiądz pleban: Myśli, które płyną
Z pyłu ziemskiego ku niebu, ku górze,
Najwdzięczniejszemi są dla Boga dary.
Gdy z skromnym kwiatkiem na Jego ołtarze
Złożysz myśl piękną, jaki czyn szlachetny,
Lub wieniec bólu — to twoje ofiary
Więcéj zaważą, jak gdybyś Mu w darze
Wieniec składała bogaty i świetny,
A może w ziemskim umaczany pyle
Tak mówił pleban — i on dziś w mogile.
Jam przypomniała te słowa kapłana;
Nim mąż do chaty żałobnéj powróci,
Zanim go z marzeń wieść straszna ocuci,
Zejdziem się w drodze i wraz u stóp Pana
Będziem błagali o pomoc i siłę;
Nie darem ziemskim, umaczanym w pyle,
Lecz sercem — wielką przejętém boleścią!
Tak umocniona — biegłam z moją wieścią
Żałobną, hyżo, jak z darem dla Pana.
Nagle — się moje ugięły kolana
W przeczuciu trwogi, niewyraźnéj trwogi.
— O Panie! czyliż dar mój za ubogi?
Straciłam tyle — cierpiałam tak wiele —
Czyż nie dość jeszcze i łez i cierpienia?
Czyliż się jeszcze sięgnąć nie ośmielę
Wieńcem łez moich do Twego ramienia?
To nie to Panie — Ty nie żądasz tyle;
Tobie wystarcza myśl we łzie skąpana,
W łzie oczyszczenia! — Ty w rozpaczy pyle
Nie zechcesz tarzać sługę mego Pana!
To nie to Panie — lecz zkądże ta rana?
A właśnie księżyc wschodził tak jak wczora
Na przestrzeń nieba czystą, lazurową;
O! on tak samo z tą twarzą upiora
Nad syna mego rozlewał się głową,
Tak samo! Wielkie cuda nieba, ziemi!
Jam niegdyś ku wam mą duszą niewinną
Lekko płynęła z rozkoszą dziecinną.
Biegłam ku niebu myślami młodemi,
Młodym zachwytem! Jam tonęła łzami
W promieniach waszych, i ust koralami
Sięgałam nieba, czerpiąc w źródłach ziemi.
Jam się wam z moich marzeń spowiadała,
Jam w waszéj barwie twarz moją zmywała,
Kąpała serce w waszéj wonnéj rosie!
A dzisiaj — jakież to wielkie przemiany!

Dziś głos człowieczy bólem potargany
Ztwardniał, zskorupiał! Dziś przy moim głosie
Pieśń wasza inna! Z niebios dźwięcznéj lutni
I ze strun ziemi po woni, po rosie
Inaczéj płynie, obco z łona bieży;
My już nie swoi, nie jednako smutni.
Dziś wam me serce nie ufa, wie wierzy!
Ni myśl się moja wami nie zachwyca,
Ni pieśnią waszą me cierpienia koje;
Dzisiaj — ja nieba — ja ziemi się boję!
Patrz — jaki jasny ten promień księżyca!
Cudnemi blaski świeci się, rumieni,
Jak gdyby barwę skradł drogich kamieni.
Taki przezroczy i taki świetlany,
Jak gdyby w swojéj po ziemi podróży,
Nie spotkał żadnéj nędzy, żadnéj rany,
Ani zasłyszał piorunu lub burzy.
Taki wzrok jego czysty, nie złowrogi,
Jak gdyby nigdy nie dojrzał wśród drogi
Win ludzkich, zdrady, ukąszenia węża,
Grobowca nieszczęść, łzą zlanéj mogiły
Mogiły dziatek — rodziców — lub męża!...
Męża? czyje to usta wymówiły?
To może echo wspomnień mi powtarza
Ten wyraz — kiedyś — przed dwudziestu laty
W serce wszczepiony słowami kapłana.
Ot za mną — nizki próg rodzinnéj chaty;
Oto kościółek — ot gwarno zebrana
Cała weselna drużyna węglarza,
I panny młodéj; ot — ksiądz u ołtarza,
Wskazując życia przyszłego drożyny
Młodym małżonkom — i przyszłe ich czyny,
Dłoń swą ojcowską wyciąga nad tłumem
I mówi: Synu! bądź dla twojéj żony
Dźwignią, podporą, siłą i rozumem!
Córko! niech Chrystus będzie pochwalony
W twéj chacie, w sercu, w każdéj życia doli!
Bierz w swoje serce wszystko to, co boli;
Dla męża chowaj szczęścia pełną czarę.
A miejcie miłość, nadzieję i wiarę,
To choć się czara do kropli wysączy,
Nawet w cierpieniu jeszcze Bóg was złączy!
Złączy? dla czego ten wyraz mnie trwoży?
Dla czego wszystkie trwożą mnie wspomnienia?
Mijam wieś, chaty, role i dom Boży;
A z każdéj strzechy, z każdego kamienia
Z każdéj mogiły, tęschnie się odzywa
Głos jakiś obcy, choć z znajoméj lutni!
I coraz rzewniéj — i coraz mi smutniéj,
Coraz okropniéj! o! ja nieszczęśliwa!

XV.

Temi myślami niby wichrem gnana
Biegłam ku miastu — ku owéj przyszłości,
Co roztaczała się jak szara ściana
Przed mojém okiem. W małéj odległości,
U stóp figury, o płotek oparta,
Klęczała postać ku ziemi schylona.
Z daleka — twarzy bieliła się karta —
W trupią bezwładność opadły ramiona,
A z martwéj dłoni kij wypadł sękaty,
Podpora wieku, podpora bezsiły.
Torba podróżna wisiała u kraty,
Gdyż zanim starca siły opuściły,
Pomyślał widać o skarbu ochronie
Więcéj — niżeli o własnéj obronie.
I dziwnie — może trzeba tylko było
Sięgnąć prawicą. Z kosza wyglądały
Apteczne flasze, sterczał zapas cały
Przypraw, gryzących chorobę swą siłą;
I dziwnie — flasze zostały nietknięte,
A starzec umarł! Rzeczy niepojęte!
Od których rozum mąci się. O! Boże!
On umarł, umarł! Choć rękę położę
Na jego sercu, serce nie odżyje;
Na jego skroni — puls w niéj już nie bije.
Choć dłoń mą składam w jego zimnéj dłoni,
Dłoń ta jak kawał twardego odłamu,
Z łoskotem pada — i po głazie dzwoni.
W próg naszéj chaty powróciłam — sama!

XVI.

Smutne są w życiu chwil ciężkich boleści!
Straszny ból męża, wielki żal niewieści;
Lecz kiedy Pan Bóg da z kim łzy podzielić,
I dłoń połączyć z dłonią ukochaną —
I serce z drugiém sercem poweselić,
To nieraz twarde, ostre kolców łoże
Nie jest zbyt twardém. Gdy duszę wezbraną
Łzami, obmyje w łez wzajemnych zdroju,
To nieraz człowiek odetchnie w spokoju.
Tę mi pociechę odebrałeś Boże!
Ja powróciłam do żałobnéj chaty
Bez łez, z kłamanym uśmiechem na twarzy;
Bo mi ostatnie pozostało dziecię,
Które ochronić chciałam od zatraty!
Cierpienie łamie takie młode kwiecie,
Więc ją ochronić trzeba od cierpienia,
Więc kłamać uśmiech i kłamać spojrzenia.
Niech się me oko łzami nie poskarży,
Niech gorycz serca uśmiechu nie zwarzy,
Niech ona nie wie! niech ona nic nie wie!
A więc kłamałam spokój i pogodę,
Choć w duszę ogień padał na żarzewie;
A gdym spojrzała na biedną Jagodę,
Błądzącą tęschnie pomiędzy drzewami,
Z progu do lipy, od lipy do progu,
I ścieżki sadu zlewającą łzami;
Tom ją z rozpaczą oddawała Bogu
I dla jéj serca błagałam litości,
Na Imię Pańskie! na dzieci mych kości!
Na moją boleść krwawą a tajoną!
Lecz — któż to pojmie, gdy przyszła jéj chwila
Ostatnia. — Łkaniem wezbrało mi łono;
Myślałam: w życiu wszystko się przesila,
Pęknie mi serce i boleść ustanie.
Gdzie tam! musiałam siłą tłumić łkania,
Aby nie przerwać dziewczęciu — konania.
A sama umrzeć nie mogłam! — Prosiła
O kwiatek lilji w sadzie chodowany;
— Kwiat ten lubili oboje wraz z bratem. —
Myślałam: gdy ich połączy mogiła,
Może ten kwiatek przypomni im ściany
Rodzinne — może zatęschnią za światem —
Za matką; — może tych dzieci tęschnota
Zabije matkę! Gdzie tam — próżne żale!
Już ja mojego dziecka nie ocalę,
I sama w świecie zostanę — sierota!
A wśród konania — niekiedy przytomnie
Ziębnącém ciałem tuliła się do mnie
Ze łzą — jak gdyby dobrze pojmowała,
Że raz ostatni przy sercu ją pieszczę
I w dłoniach moich zlekka zasypiała.
A potém nagle budząc się raz jeszcze
I jeszcze tuląc się do mnie z żałością,
Szeptała: Matko! moja matko biedna!
Sama na świecie, bez ojca, bez dzieci;
Sama z tym bólem, z rozpaczą, miłością,
Sama wśród ludzi — zawsze sama jedna!
Słyszał to księżyc co nad chatą świeci,
Słyszały ptaki, dziecka ulubieńce,

Słyszały kwiatów rozwieszone wieńce
Nad głową dziecka — bo na progu chaty
Chciała spoczywać — idąc w lepsze światy.
I tak umarła! a jak tamci pierwsi,
Poszła na ciche wśród pola mogiły.

Ziemia się zamkła, a otworzył w piersi
Ból wielki! anim miała więcéj siły
Udawać, ani zdało się już komu!
Wracałam sama w próg pustego domu.
(Dokończenie nastąpi).

Tajemnicza szkatułka.

Powieść osnuta na prawdziwém zdarzeniu

przez

E. z Kurowskich Puffke.

(Ciąg dalszy.)

XI.

Pan dyrektor stanął więc szczęśliwie u celu. Wytrwałość, mądre obliczenie wszystkich korzystnych okoliczności, nie wzdryganie się przed żadnym, choćby najgorszym środkiem, niezłomna siła woli, słowem wszystkie te przymioty, które w dzisiejszych czasach stanowią ludzi wznoszących się nad poziom ogółu, doprowadziły go do tego. Gdzie była szkatułka i co zawierała? Gdzie był doktor Kolaczek i co go spowodowało do umknięcia pokryjomu i pozostawienia w nieszczęściu bez żadnéj pomocy rodziny, która zdawała się tak go zajmować? — Wszystkie te pytania miały pozostać bez odpowiedzi.

Hrabia Rikoczy z powrotem do wolności zaczął przychodzić widocznie do zdrowia. Rozmawiał dość przytomnie, bawił się z psami i jego obłąkanie przechodziło w cichą, spokojną melancholję. W dwa tygodnie po powrocie do domu hrabiego miała się odbyć uroczystość zaręczyn dyrektora. Hrabia przyjął bowiem wiadomość o postanowieniu Łucji oddania ręki dyrektorowi z jak najzupełniejszą obojętnością, hrabina była ucieszona, że im się przez to zdarza sposobność odwdzięczenia dyrektorowi jego życzliwości. Ta uroczystość odbyła się jednakże ściśle w kółku rodzinném, gdyż hrabiostwo z łatwych do wytłomaczenia przyczyn nie przyjmowali nikogo obcego w swoim domu. Podano do stołu. Obiad składał się z potraw najwytworniejszych i wina doskonałego. Dyrektor był w wyśmienitym humorze. Rozmawiał wiele, pił jeszcze więcéj, a głównym przedmiotem jego rozmowy był nastąpić mający ślub jego, o którego przyspieszenie domagał się jak najusilniéj. Hrabia był cichy i tylko czasem rozmawiał do psów, nieodstępnych swych towarzyszy. Łucja nie miała wcale miny szczęśliwéj narzeczonéj, była blada i małomówiąca. Widać było, że tylko niezłomna siła woli utrzymywała ją na drodze, którą sobie obrała.

Już ostatnie podano danie, kiedy Weronika zbliżyła się do hrabiny i szepnęła jéj coś na ucho

Rozalja zbladła a potém ciemny rumieniec wystąpił na jéj lica, odpowiedziała spieszno kilka słów, po których służąca wyszła z pokoju.

W kilka chwil potém hrabina pod pozorem wydania jakiegoś rozkazu oddaliła się od stołu. Łucja siedząc najbliżéj drzwi od przyległego salonu, usłyszała rozmowę, głos znany obił się o jéj uszy, nie namyślając się ani chwili wstała i wybiegła do przedpokoju.

Pan dyrektor pozostał sam na sam z hrabią. Upłynęło pięć, upłynęło dziesięć minut a panie nie powracały.

— Cóżto za bezwzględność zostawić narzeczonego sam na sam z warjatem, pomyślał, gdy w téj chwili wszedł do sali jadalnéj nieznany nikomu pan bardzo znakomitéj postawy.

— Czy to pan dyrektor Strauss? rzekł kłaniając się niedbale.

— Do usług mój panie, lecz z kim mam zaszczyt?..

— Jestem sędzia apelacyjny Gaskard z Wiednia i przybywam aby się przekonać jak jest z kryminalnym procesem przeciwko hrabiemu Rikoczy.

— Ah, bardzo mi przyjemnie, rzekł dyrektor głosem, który zdawał się wychodzić mu z trudnością z krtani. Wiesz pan już zapewne, że proces ten dla braku dostatecznych dowodów został odłożony ad acta, — zwłaszcza, że lekarze nie obiecują prędkiego powrotu do zmysłów obwinionego.

— Wiem o tém, panie dyrektorze, rzekł sędzia z ironijnym uśmiechem. Lecz jakże to jest z szkatułką, głównym świadkiem w téj sprawie?

— Ta zniknęła niepojętym sposobem, odpowiedział śmiało dyrektor.

— Tak, niepojętym dla nas wszystkich, powtórzył sędzia, tylko nie dla ciebie panie dyrektorze.

— Panie sędzio! zawołał dyrektor głośno, a twarz jego okryła się rumieńcem.

— Nie zapieraj się pan, rzekł sędzia i wyciągnął z kieszeni paltota tajemniczą szkatułkę. Czyżbyś pan miał rzeczywiście nie wiedzieć, że ona znajdowała się spokojnie zamknięta w biurku pańskiém?

Dyrektor drżąc cały z przestrachu, wyjąknął:

— Kto się ważył?...

— Na rozkaz najwyższego trybunału wiedeńskiego odprawiono podczas niebytności pana w domu twoim rewizję i przy téjże znaleziono ten oto c o r p u s d e l i c t i, odpowiedział poważnie sędzia apelacyjny. Zawiera ona — pan wiesz to bardzo dobrze, bo ją otworzyłeś — jak najzupełniejsze dowody niewinności hrabiego, a przecież nie umorzyłeś pan procesu z tego powodu, ale udałeś, iż to uczyniłeś z własnego popędu wspaniałomyślności, ażeby przez to wymódz rękę hrabianki Rikoczy. Szczęściem, że przybywamy jeszcze dość wcześnie, by zepsuć panu te dobrze ukartowane plany.

— Kto jest tym podłym oszczercą, który śmiał mnie tak oczernić przed panem?

— Powściągnij pan ten zapał zbyteczny, rzekł sędzia, a otworzywszy drzwi od przyległego pokoju, zawołał: Chodź tu panie doktorze Kolaczek, pan dyrektor pyta o ciebie.

Doktor wszedł do pokoju. Na jego ustach widać było tryumfujący uśmiech. Dyrektor cofnął się w tył i upadł prawie na fotel.

— A, dziwno panu, że już powróciłem z Ameryki, rzekł z uśmiechem doktor. Byłem panu w drodze i byłbyś mnie znów kazał aresztować, gdybym się nie był panu umknął zawczasu. Z wielu dowodów domyślałem się, że to pan schowałeś szkatułkę, lecz nie mogąc panu tego dowieść, udałem się nie do Ameryki, ale do stolicy, aby tam przez dawnych znajomych mego ojca wyrobić, że przysłano zkontrolować proces prowadzony przez pana. Po wielu trudnościach i wielkiéj

stracie czasu dopiąłem wreszcie mego celu, i — jak pan sam przyznać musisz — udało mi się to wybornie.

Zawstydzony dyrektor chciał mu przerwać, ale Kolaczek nie zważając na to mówił daléj:

— Trzeba mi było występować jak najtajemniéj, wiedząc z jakim przebiegłym przeciwnikiem miałem do czynienia i że ten byłby skręcił ową szkatułkę, gdyby się był czegośkolwiek domyślał. Nawet panią i pannę Rikoczy pozostawiłem w zupełnéj niewiadomości co do moich zamiarów, ażeby zapytane przez sąd o mnie, nie były zmuszone albo plamić się kłamstwem, albo wyjawić co postanowiłem uczynić. Tym sposobem doszedłeś pan do swego celu — ale pan chciałeś okazać późniéj światu, że narzeczona pana pochodzi z rodziny zacnéj, żadnym brzydkim nie splamionéj czynem. Dla tego nie zniszczyłeś szkatułki, ale zachowałeś ją starannie. Późniéj byłbyś pan obmyślił, w jaki sposób upatrzyć jéj znalezienie przypadkowe. I w tém to właśnie przeliczyłeś się pan. Znalazł się ktoś, kto pana uprzedził — ja bowiem przyszedłem pierwszy na myśl, iż pan musiałeś ją znaleźć wkrótce po jéj zniknięciu.

— Ktoby się był w panu tak biegłego szpiega spodziewał, wyjąknął dyrektor z trudno hamowaną wściekłością.

Doktor chciał odpowiedzieć na to ostro, ale sędzia stanął pomiędzy dwoma rywalami i rzekł poważnie:

— Wina pana jest jak najzupełniéj dowiedzioną. W samolubnych zamiarach nadużyłeś procesu powierzonego panu. Jesteś pan w skutek tego aresztowanym.

Na jego skinienie weszło dwóch woźnych i wyprowadziło pana dyrektora, który z spuszczoną głową poszedł za nimi w milczeniu.

Wkrótce potém pożegnał i sędzia Gaskard rodzinę hrabioską, przepraszając jak najuprzejmiéj za wszystkie wyrządzone jéj przykrości przez nieuczciwość jednego z urzędników, na tak wysokim będącego stanowisku.

Teraz dopiero nastąpiły wspólne objaśnienia i przepraszania, których wynikiem naturalnym było, że Łucja oddała rękę doktorowi Kolaczek. W kilka dni potém opuścili wszyscy te miejsca, gdzie tyle doznali boleści i udali się do Węgier, do dóbr hrabiego. Tutaj odbył się w kilka tygodni ślub doktora Kolaczek z Łucją. W téj saméj okolicy wśród pięknéj doliny założył młody lekarz zakład dla obłąkanych. Pierwszy, który tam zamieszkał, był hrabia Alman Rikoczy, który nie powrócił już zupełnie do zdrowia, pomimo najczulszych starań i troskliwości swych krewnych. Była to widocznie kara za życie lekkomyślne jakie wiódł w młodości i za samobójstwo pierwszéj żony, przy którém nie można go od wszelkiéj winy oczyścić. Zresztą papiery pośmiertne zawierały zupełnie to, czego się Łucja swym bystrym rozumem domyśliła i w onéj nocy wypowiedziała.

Doktor Kolaczek jest powszechnie szanowany i lubiony, bo posiada wszelkie te przymioty, które stanowią zacnego lekarza. Obok niczém nieposzlakowanéj prawości charakteru, jest z niewysłowioną gorliwością oddany zawodowi któremu się poświęcił. Jego dobroczynność, w któréj i Łucja czynny bierze udział, głośną jest w całéj okolicy. Dom ich jest domem opieki wszystkich nieszczęśliwych i cierpiących.

Będąc w przeszłym roku u wód w tamtejszéj okolicy, poznaliśmy się przypadkowo z tą zacną rodziną i od niéj dowiedzieliśmy się o tém zdarzeniu, na którém pozwoliliśmy sobie osnuć tę powieść.

Oby ona zdolną była zwrócić uwagę na siebie tych, którzy bez myśli o tém co ich czeka daléj, marnują niedbale odziedziczone po ojcach spuścizny, jakie nieprzeliczone pasma cierpień sprowadza często ta lekkomyślność za sobą.

Oby każdéj czytającéj tę powieść osobie zwróciła się baczność na to, o czém dziś prawie zupełnie zapominamy, w co mało kto — chce wierzyć: że ani w życiu ludzi pojedyńczych, ani w ogóle w arcymądrych rządach Wszechmocnego — nie ma przypadków, — nie ma trafu, — nie ma urwania się ani skoku na chybi-trafi. Im głębiéj badać będziemy wypadki choćby najprostszego życia naszego, im uważniéj wpatrzymy się w ład społeczeństwa ludzi, tém jawniéj nam się okaże: że każde nasze uczucie, każda myśl nasza, każden nasz zamiar, każde nasze słowo a przedewszystkiém każdy nasz czyn wywołuje po sobie nieubłagalne, pomiędzy sobą jak najściśléj matematycznie powiązane następstwa. Głębokie, niezmiernie głębokie jest znaczenie tych słów katechizmu chrześcijańskiego: „grzeszemy myślą, uczuciem, słowem i uczynkiem“, choć one tylko ujemną stronę naszego życia uwzględniają.

Złe zawsze i wszędzie rodzi inne złe; z dobrego zawsze i wszędzie wynika dobre; — ale tylko skutki dobrego ostatecznie się ostawają! Nie wystawiajmy sobie, ażebyśmy byli bezwzględnie samoistni, niezawiśli, — niezależni jeden od drugiego! Jakżeżby mogło istnieć społeczeństwo?!

Dla ślepych tylko, dla „ślepych co mają oczy a nie widzą“ niewidomą jest owa tajemna nić, która nas trwale wiąże z bliźnimi i to na wszystkie strony, tak że każdy z nas jest niby węzełkiem w ludzkości przecudownie usnutéj — koronce.

Im nieprawidłowiéj (siłą złego), im gwałtowniéj miotaném bywa takie „ja“, — taki węzełek, tém silniéj całą tą tkaniną porusza; — a im więcéj będzie ten węzełek środkowym, im rozleglejsza będzie ta część owéj sieci, któréj on środkuje, tém więcéj te jego rzuty będą plątały, gmatwały i rwały ową tajną nić, która go z pobliższemi węzełkami spaja.

Możnaby jeszcze porównać nasze wpływowe, na najwyższych stanowiskach społecznych będące osoby, do chodzących po śnieżnych gór szczytach. Każde ich stąpienie tłoczy i mniéj więcéj porusza śnieżne warstwy, w których każda blaszka śniegu jest jakoby ziarnkiem zbiorowéj nagromadzonéj ludzkiéj pracy.

Skoro taka osoba rozrzuca niebacznie swym chodem ów śnieg, tak że mu się z pod stóp usunie i porwie go za sobą, natenczas osoba ta staczając się z pochyłości, coraz to więcéj w ten śnieg się owija i coraz to hyżéj stacza się w przepaście, stawszy się rdzeniem spadającéj takiéj moralnéj lawiny, chłonącéj innych po drodze.

Stósownie do wysokości z jakiéj ten rdzeń spada, stósownie do ilości śniegu, a względnie pracy, którą za sobą porywa, stósownie do pochyłości na jakiéj się toczy, staje się i taka moralna lawina o tyle w swym pędzie groźniejszą, im wyższe jest téj osoby stanowisko, im więcéj około niéj jest uścielonych skutków pracy, im stromsza jest pochyłość po któréj spada.

Tak było i tu n. p. z hr. Rikoczym, stojącym na wysokiém stanowisku społeczném, otoczonym bogactwami nagromadzonemi przez pracę kilkowiekową tysięcy ludzi, odziedziczonych po pradziadach. Nie pomniał na to, że każdy szeląg jest przedstawicielem uczciwéj oszczędzonéj pracy bliźnich, jemu do szafowania przez społeczne prawa powierzonéj. Niebaczne rozrzucanie tych blaszek śniegowych zachwiało jego podstawę i coraz hyżéj spadał, porywając za sobą drugich, niżéj stojących.

I jak spadająca lawina rośnie w potęgę zniszczenia w miarę tego jak lgną do niéj inne masy, tak i w upadku naszych społecznych naczelników groźność tego pędu

wzmaga się w miarę tego, jak za sobą porywają innych.

W powieści niniejszéj mamy aż trzy takie osobistości rdzeniowe, które w swych upadkach moralnych w jednę klęskę się złączyły. t. j. hrabia, pierwsza żona jego, która zdradziła swą przyjaciółkę i oszukała towarzystwo zabezpieczeń życia, — dyrektor, który podłością i nieuczciwością chciał się nad innych wynieść. Ocaleni w tym nawale są tylko ci, którzy szli drogą prawą. Oby zawsze i wszędzie chciano przy każdym zamiarze pamiętać, że: „Tylko na moralności oparte interesa bogacą i uszczęśliwiają ludzi i kraje.“

Nowy tryumf!

(Z powodu artykułu „Kurjera Poznańskiego‘).

Serdecznie nas ucieszyło, że w Nr. 196 po raz pierwszy od czasu prawie swego istnienia „Kurjer“ wzmiankował Tygodnik Wielkopolski we swych kolumnach w bardzo korzystnym dla naszéj sprawy artykule.

Przyznaje nam rację, „że najwyższy czas kupić się około osobistości wybitnych i poważnych jako kierowników opinji, żeby uniknąć dyktatury centralistycznéj, jaką przywłaszczyła sobie prasa, zniżając charaktery, pozbawiając samodzielnéj myśli, podcinając w korzeniu odwagę cywilną.“

Poruszana przez nas kwestja przywrócenia opinji publicznéj jako potęgi moralnéj a podjęta wypróbowaną zręcznością redakcji „Kurjera“, pisma poważnego, popartego przez „Ognisko“ i „Orędownik“, byłby to pierwszy krok do zjednoczenia się w solidarny areopag dziś tak nieszczęśliwie rozbitego naszego społeczeństwa na jakieś obozy‘ tém smutniejsze, że nie wynikłe z krajowych naszych towarzyskich interesów, ale z powszechniejszego europejskiego znaczenia polityczno-religijnych spraw, do których rozwiązania my w niczém przyczynić się nie możemy — będąc bez sił, bo bez ogólnéj solidarnéj organizacji; — a jeszcze więcéj rozdwoiły nas fałszywe poglądy pewnéj nieudolnéj osobistości, w około któréj Bractwo Wzajemnéj Adoracji zcentralizowało kierunek poglądu na sprawy publiczne.

Naszém widzeniem rzeczy: nas powinno najzupełniéj przedewszystkiém zająć pogodzenie się na czysto moralném stanowisku.

Zejść muszą ze swych stanowisk dyktatorskich ludzie, z którymi nie może być pod żadnym warunkiem zgody, co dziś nam zawadzają!

Całą naszą uwagę zwróćmy potém na zajęcie się samemi czysto domowemi interesami, a mianowicie ścisłą rewizją i reorganizacją pozostałych jeszcze na nogach naszych akcyjnych instytucji, — naszego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Towarzystwa Naukowéj Pomocy, Szkoły Żabikowskiéj, Bazaru, Towarzystwa Oświaty Ludowéj, Banku Kwilecki, Potocki i Sp. itd. itd.

Dziś upadły nasz kredyt tylko pod innemi niż obecnie zawichrzonemi warunkami znów odżywić się może.

Setkami dziś liczymy przyprowadzone do nędzy lat temu kilka jeszcze zamożne rodziny. Błąkają się bez miejsc biedni, zacni i doświadczeni ludzie! Zajmijmy się naszymi weteranami, zubożałemi starcami i wdowami, którzy mieli tu i owdzie spokojny kącik, a dziś niewprawni w żebracze rzemiosło, ze załamanemi rękoma błagają o śmierć jak najrychlejszą i szukają przytułku na gasnące im dnie twardego żywota.

Szał gonitw za raptownem zbogaceniem się bądź jak bądź, dzięki Bogu, dziś już stanowczo minął. Zwróćmyż lokację zagraniczną kapitałów, jeszcze bardzo znaczną, w domowe progi, na domorosłe nam najwłaściwsze rozwijanie się: naszych małych gospodarstw, dziś jeszcze w bardzo opłakanym będących stanie; na rozwój naszego handlu i przemysłu na małe skale przez instytucje na sposób „Ula“, który stał się dla nas wzorem i praktyczną szkołą administracyjno-handlową, do uświęcania pamiętnych dni z przeszłości naszéj i t. d. Zajmijmy się całą duszą szkółkami wiejskiemi i losem ich nauczycieli. Twórzmy wiece pszczelników, ogrodników, małych gospodarzy, komorników, parobków i t. d. Formujmy „Sokoły“ czyli towarzystwa gimnastyczne i śpiewackie, bractwa strzeleckie, czytelnie. Wpływajmy najstanowczéj na zupełną reformę wychowania Polek — jako matek, gospodyń i żon, we wszystkich naszych warstwach towarzyskich. Starajmy się przyswajać wszystko co dobre u Żydów i Niemców, — ale zastósowywać to do ducha tradycyjnéj naszéj właściwéj nam cywilizacji. Powiedzmy sobie, że gra w karty jest po prostu grzecznem złodziejstwem jeżeli idzie o pieniądze, a zabawą warjatów i niedołęg umysłowych gdy ma być rozrywką.

Pouczający przykład mamy u Włochów, którzy gdy sobie dali słowo że obędą się bez jedwabiu, cukru, cygar, piwa, papierowych pieniędzy i bez języka niemieckiego, -- dotrzymali słowa w dwóch prowincjach: Medjolańskiéj i Weneckiéj i z politycznego stanowiska zniewolili rząd austrjacki do ustępstw bez rozlewu krwi i bez gwałtów, li potęgą opinji publicznéj — bez pomocy spisków i organizacji zewnętrznéj.

Na ten wyłącznie wewnętrzny kierunek czysto moralny zwracajmy wszelkie nasze siły umysłowe i materjalne, a w lat kilka kraj, jak nasz rolniczy, wzniesie się tak, jak to za dawnych naszych czasów po klęskach wojennych i tak często bywało.

Tego nie zapominajmy — że gdzie się ma dobrobyt zagnieździć, tam najpierwéj wytrwale i usilnie trzeba wpraszać moralność z całą jéj rodziną: czystością, punktualnością, sumiennością, pracowitością i ładem. Oszczędność wtedy sama się w dom wprosi, — a za tą siostrą moralności przychodzi wcale nieproszony jéj małżonek dobrobyt.

Gdzie tak zagnieżdżony w rodzinie dobrobyt, rodzina ta staje się obfitém źródłem Opinji publicznéj — a im więcéj takich rodzin, w tém potężniejszą rzekę zlewa się Opinja publiczna i ta nadaje krajowi potęgę siły, — jak było za naszych ojców, bez gazet, bez kolei żelaznych, bez telegrafów, bez żwirówek i bez kanałów, bez xiążek i bez nauki nawet pisania! — A cóż mamy mówić o wskrzeszeniu jéj władzy przy tych wszystkich środkach komunikacyjnych!!...

W tym kierunku pracujmy dłoń w dłoni, a zresztą polityką zagraniczną — bawmy się dla rozrywki.

Milczeniem pokryto naszą dwukrotną odezwę do ekonomistów polskich (Nr. 6 i 11). Na zjeździe program powyższy zamierzaliśmy podać pod dyskusję szerszą. Dziennika Polskiego redaktor zwykłym swym sposobem

obiecywał popierać tę sprawę, — ale żeśmy osobiście nie kwalifikowali się na jego Mameluka, przeto zręcznemi manewrami wymanewrowywał przez Tygodnik Wielkopolski na porządek dzienny zebrań niedzielnych redakcyjnych stawianą kwestję.

Kurjer Poznański nie ufał nam, sądząc razem z Przeglądem Lwowskim żeśmy „satelitą" Dziennika Poznańskiego i w jego liberji jak: Wiarus i Gazeta Toruńska. Orędownik pomijał nas, stósując się raczéj do Kurjera.

Dziś przełamaliśmy mury centralizujące Bractwa Wzajemnéj Adoracji. Pierwsze poparło nas sumienne Ognisko, potém Orędownik, a teraz Kurjer Poznański.

Zbliża się przez nasze „warjactwo" — przez nasze „paszkwile" wywoływana już w Nr. 5 na tron: Opinja publiczna, — i zakwitnie znów ta zgoda, do jakiéj wzdychamy, — pomni na czasy Karóla Marcinkowskiego i Gustawa Potworowskiego!

Serdecznie Was witamy jako sprzymierzeńców — i bodaj nam jak najprędzéj zakwitła nasza serdeczna szlachecko-polska zgoda z nowym jakim Marcinkowskim i nowym jakim Potworowskim na czele!

„Kochajmy się czynami!"

Niech ginie szacherki malowana deskowa buda, — a na jéj ruinach wystawmy tron:

Opinji publicznéj!

Wł. hr. Chotomski.

O petroleum.

(Pierwszy list do N. z W. J.)

Czcigodna Pani!

Zapytujesz się o pochodzenie oleju skalnego i jego karjerze na pozór dorobkiewiczowskiéj, — a la Strousberg, który niby grzyb jaki, jednéj nocy doszedł do niepospolitego wpływu i znaczenia w świecie.

Zaiste zdumiewającą potęgą dobroczynną stała się tak zwana nafta, petroleum, albo oléj skalny od r. 1859, gdy do tego czasu znaną była jako materjał palny i oświetlający, bo około 2300 lat temu już opisuje Herodot źródła oleju skalnego na wyspie Zante, a ślady jéj jeszcze dawniéj w cemencie używanym do murów Babilonu, jako asfaltu, zastósowanie téj kopaliny wykazują.

Słynne „ognie święte" z okolic Baku, gdzie Zoroaster (jeżeli żył jaki Zoroaster), miał założyć religję magów, są niczém więcéj jak gazem palącym się, ulatniającym z oleju skalnego. Olejowi skalnemu zwykle towarzyszą źródła wody, a będąc lżejszym od tego ostatniego płynu, pływa po nim niby kożuszek tęczobarwny. Od rdzy żelaza, podobnie kożuszkiem tęczowym na wodzie osiadającéj, jak najłatwiéj rozróżnić oléj skalny można tym sposobem, że położona na kożuszku takim np. bibułka od cygaret, po osuszeniu jest tłuszczowemi plamami powalana, gdy kożuszek rdzy po wyschnięciu wygląda jakoby był żółtą farbą proszkową pomazanym. — Zwykle tedy czerpaczką zbierają oléj skalny z płynącéj albo i ze stojących wód.

Są atoli i źródła czystego oleju skalnego płynące lub osadzające się jak woda w studni, w szczelinach i załomach skał.

Nazwy rozmaite oleju skalnego powodują do niego domięszane ziemne roślinne a nawet i zwierzęce cząstki, wpływające na tegoż oleju farbę, gęstość, ciężar, zapach i topliwość.

Nasza handlowa nafta, im więcéj się zbliża kolorem do wody, tém jest czyściejszą i tém bezpieczniejszą przy użyciu jéj do palenia w lampach. To zanieczyszczenie głównie było powodem, że dopiero w ostatnim czasie nafta przeszła jako środek oświetlania i gotowania w użycie, bo gazy bardzo lotne, t. j. topliwsze znacznie niż czysty oléj skalny, gdy się jako gazy często zmięszały z powietrzem w naczyniach a nawet i w magazynach, zapalały się tak gwałtownie, że rozsadzały lampy i magazyny niby proch.

Jakim sposobem powstał oléj skalny w naturze?

Stanowczo do dziś nie rozwiązała ludzka umiejętność tego zapytania i najniezawodniéj nigdy go nie rozwiąże, a to dla tego, że, jak słusznie uważa Schubert*), materjalizm podlegać może umiejętnościowym badaniom li tylko jako metoda.

Sądząc, że oléj skalny jest rozrzucony w najrozmaitszych formacjach ziemi i w niezliczonych jéj miejscach, — że zawsze jest mniéj lub więcéj płynny, — że zacząwszy od asfaltu aż do gazu zapalającego się na cmentarzach i błotach, znanych „błędnych ogników", — głównemi częściami składowemi tych ciał jest węgiel i wodór, — że ostatecznie zawsze przy tych ciałach znajdujemy kamienny węgiel, z którego jak ze zwęglonych części ciał roślinnych i zwierzęcych, sztucznie nawet wyrabiamy coś podobnego: smołę, terpentynę i dziegieć, — przeto jest prawdopodobném, że oléj skalny jakoś w podobny powstał sposób i że jest po prostu olejem czyli tłuszczem roślinnym lub zwierzęcym, lub roślinno-zwierzęcym razem.

Chemja w tym względzie dość jaskrawe rzuca światło. Gaz tworzący błędne ogniki nazywają chemicy metanem (wodorek metylu) i wyobrażają go sobie jako złożony z jednéj części węgla i czterech części wodoru (CH_4). Dodając po prostu 2 części węgla i 2 części wodoru do metanu, tworzy się etan (wodorek etylu) = C_2H_6; do tego znowu dodawszy 2 części węgla i dwie wodoru, utworzy się propan (wodorek propylu), daléj butan (wodorek butylu) i tak daléj coraz to gęstsze i mniéj topliwe płyny aż do parafinu = $C_{42}H_{46}$. Otóż oléj skalny jest mięszaniną tych wszystkich nieomal gazów i płynów i ciastowatych kruszców i przez grzanie go przy ogniu, gotując go, — najpierwiéj ulatniają się z oleju skalnego metan, potém etan, daléj propan, za nim butan itd. aż pozostanie na ostatku asfalt.

Ztąd pochodzi, że w handlu nasza nafta jedna drugiéj nie równa, a jeszcze mniéj równają się oleje skalne wydobywane z łona ziemi z różnych miejsc. Są znów atoli oleje skalne w miejscach, gdzie wcale nie ma węgla kamiennego pokładów. Może być, że kiedyś tam były. A że najpotężniejsze ilości petroleum są w Ameryce pod pokładami węgli kamiennych, t. j. w silurskich i devonskich pokładach, przeto są i tacy uczeni, którzy sądzą, że węgiel kamienny powstał w skutek bytności oleju skalnego pod masami nagromadzonych zasp roślinnych w skutek powodzi przy rewolucjach skorupy naszego planety.

Co jeszcze zastanawia, — że przy znajdywaniu skalnego oleju objawia się odwrotny stosunek, bo najgęstszy oléj jest u góry i zaskorupia coraz to płynniejsze warstwy, aż na dnie są same gazy.

Inni znowu uważają, jakeśmy to już mówili, że oléj skalny jest po prostu powstały przez macerację czyli rozkład ciał zwierzęcych i roślinnych, z których tłuszczowe cząstki przez ciągłe drganie ziemiowéj skorupy staczają się w najniższe miejsca i tak tworzą owe zlewy oleju skalnego.

W następnym liście pomówimy o karjerze oleju skalnego, jaką zrobił w swoim wpływie na nasze stósunki.

*) Die Poesie im neuen Deutschland. Studie v. Karl Friedrich Schubert. Leipzig, 1872. Carl Knobloch. Str. 15.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Władysław hr. Chotomski. — Czcionkami drukarni L. Merzbacha.
Jedyny skład w Poznaniu w księgarni K. Rejznera (Chotomski).